

Mateusz Matyszkowicz: Ulotne piękno czasu szogunów

Edo, Japonia sprzed kilku wieków jest nam bliższa niż mogłoby się wydawać. Zatrzymywanie chwili, która umyka, to cel znacznej części kulturowych elit Europy. Warto to zdemistyfikować



Edo, Japonia sprzed kilku wieków jest nam bliższa niż mogłoby się wydawać. Zatrzymywanie chwili, która umyka, to cel znacznej części kulturowych elit Europy. Warto to zdemistyfikować

Mówi się, że ze Wschodu czerpiemy światło – *ex Oriente lux*. Historycy filozofii chętnie podkreślają, że europejska filozofia powstała pod silnym wpływem orfików, a więc azjatyckiej sekty. Dla chrześcijan to

pojęcie oznacza jeszcze coś innego. Jerozolima jest na Wschodzie i to z Jerozolimy przyszło światło, a więc Chrystus. Dzisiejsi natomiast Europejczycy, zarówno ci zwykli, chodzący na kursy Jogi, jak i ci bardziej wysublimowani, szukają inspiracji w filozofii już nie Bliskiego, ale Dalekiego Wschodu. Nie uświadamiają sobie jednak, że nie muszą daleko szukać.

W tożsamość europejską wpisane są bowiem pewne schematy zachowań, które łączą nas z Azjatami. Skoro bowiem natura ludzka jest jedna – jedna dla Europejczyków i Azjatów, to pewne wzorce zachowań będą się powtarzać. Jest w tym wiele pięknych elementów. Czai się jednak także niebezpieczeństwo.

Jeśli szukamy zaś takiej pigułki. Modelowego wzorca, zacznijmy studiować Japonię czasów Tokugawów. To wtedy, w czasach zamknięcia na świat, wytworzyła się specyficzna kultura, która wydobyła na powierzchnię pewne charakterystyczne cechy ludzkich postaw. Łatwo je zagubić, oglądając nieświadomie widoki góry Fudzi, wielokrotnie powielane i publikowane w kolorowych albumach. Albo drzeworyty, które przedstawiają gejsze. To zjawisko trzeba zrozumieć. I w równym stopniu zachwycić się kunsztem artystów, jak i przerazić ponurą prawdą o człowieku, którą zdołali uchwycić.

Edo

Na początku XVII wieku rządy w Japonii przejęli szoguni. Rozpoczął się trwający trzy wieki okres rządu wojskowych. Cesarz zamknięty we własnym pałacu został sprowadzony do roli mistrza ceremonii i

duchowego opiekuna narodu. Jego kult rósł, ale wpływy zostały ograniczone całkowicie.

Począwszy od rządów pierwszego szoguna, I'ejasu, Japonia coraz bardziej zamykała się na świat. Rody arystokratyczne zostały także ograniczone. Obciążano je choćby bardzo wysokimi kosztami życia w stolicy. Aby łatwiej ich było kontrolować, szoguni wymogli ich stałe odwiedziny w otoczeniu dworu szogunów. To nie tylko zajmowało czas, utrudniając snucie intryg, ale i obciążało budżety stopniu tak znacznym, że trudno było myśleć o rewolcie. Mimo to zdarzały się wolty, pozornie ustabilizowana Japonia nigdy nie była spokojna.

Tak wyglądało Edo – poprzednik Tokio i nazwa epoki, o której dziś wielu pisze z nostalgią. Nostalgiczny jest film „Ostatni samuraj” z Tomem Cruisem, w którym główny bohater pomaga grupie samurajów stoczyć ostatnią samobójczą walkę, kiedy to cesarz Meiji odzyskał władzę i szogunat został obalony, także przy pomocy sił zewnętrznych. Nostalgiczne są niektóre powieści fantasy, jak chociażby „Powrót do Edo”. Edo – powtórzmy: miasto i epoka. Miasto, poprzednik Tokio. Już w pierwszym wieku reżimu Tokugawów stolica zaczęła się rozrastać. To tu ściągali ludzie z całego kraju, by móc zarobić więcej. Skoro do Edo ściągali najbogatsi i tam spędzali znaczną część życia, to i za nimi musiała ciągnąć biedota, by móc się wzbogacić. Poprzednik Tokio tętnił życiem, był nieustannym placem budowy, bo nie tylko się rozrastał, ale i regularnie płonął, co wymuszało nieustanne odbudowy. Niby statyczna Japonia – statyczna, bo odcięta od świata i niechętna jakimkolwiek kulturowym zmianom, musiała stale budować się od nowa, każda zaś odbudowa różni się od poprzedniej. Człowiek, któremu

wielokrotnie przyszło się przeprowadzać i budować dom na nowo, przestaje przywiązywać się do przedmiotów i miejsc. Musi nastąpić w nim jakaś trudna do zrozumienia w Europie zmiana mentalna.

Nostalgiczne są też wszystkie opowieści poświęcone gejszom, bo to właśnie w czasach Tokugawów rozwinęła się Yoshiwara, czyli yūkaku, dzielnica rozkoszy. To tam do finezji Japończycy doprowadzili sztukę spędzania czasu w otoczeniu pięknych kobiet. Sztukę, przynajmniej z założenia, daleką od zwykłej prostytucji. Polegała ona bowiem na przedłużeniu do granic możliwości chwili, w której następuje uwodzenie – chwili tego olśnienia, w którym nie następuje jeszcze pełny fizyczny kontakt, ale raczej jego przygotowanie. Stąd gejsze uczyły się długo tańca, gry i prowadzenia konwersacji. Musiały być to inteligentne i obyte z kulturą damy, których celem było wydobywanie piękna.

W tym świecie obyczaje były ściśle ustalone. Hierarchia społeczna pilnowała porządku. Małżeństwa ustalano z góry przez rodziców, a mężczyźni przyjemności musieli szukać poza rodziną. I system moralny im to umożliwił sankcjonując tę niezwykłą formę prostytucji.

Ale Edo wiąże się z czymś jeszcze. Na pozór statyczna struktura społeczna była w stanie nieustannego drżenia. Kiedy słabła arystokracja, bogaciły się nowe grupy społeczne. Powiększały się nie tylko obszary biedy, ale i bogactwa. Ostry – dziś powiedzielibyśmy, że totalitarny – reżim Tokugawów próbował tłamsić jakiegokolwiek przejawy podmiotowości społecznej. W czasach Edo na szczyty wzniosła się natomiast japońska sztuka. Nastąpiło zadziwiające sprzężenie tego zamknięcia na świat, bogactwa i ponurej sytuacji. Japończycy zaczęli

się delectować „światem, który przemija” (ukijo-e). Wytworzył się obyczaj, który trudno porównać z czymkolwiek. Jeśli dziś widzimy w Europie Japończyków, którzy fotografują co popadnie, bez opamiętania i bez rozumienia. Fotografują po to, by oglądać później i później dopiero delectować się zatrzymanym obrazem, to pamiętajmy, że to wulgarny ślad po niezwykle wysublimowanym obyczaju zatrzymywania chwili, artystycznego utrwalenia piękna, które z natury jest ulotne.

Ukijo-e

Sięgnijmy do samego początku, druga połowa XVII wieku i „Opowieści przemijającego świata” Asaia Rioi, dziś znakomite źródło zrozumienia ukrytych znaczeń tamtego czasu. „Żyć tylko chwilą, zwracając całą uwagę ku przyjemnościom, które daje księżyc, śnieg, kwiaty wiśni, liście klonu, nie troszcząc się ani odrobinę o nędzę, która gapi się prosto w twarz, nie poddając się przygnębieniu, jak tykwa płynąc z nurtem rzeki – to właśnie nazywamy „czasem, który przemija (ukijo-e)”. W tradycji europejskiej taki sposób patrzenia na świat nazywany jest zwykle hedonizmem, ale to skojarzenie może być dla nas mylące. W rozumieniu najstarszym hedonizm jest wprawdzie tak wulgarny jak dziś, przeciwnie, ma w sobie wiele ascezy, bo przyjemność wcale nie wiąże się z rozpasaniem, ale powolnym i umiarkowanym dawkowaniem tak, by przyjemność była jeszcze większa. Dzisiejsze z kolei rozumienie hedonizmu jest zdecydowanie mniej wysublimowane i nazywane jest po prostu „czerpaniem z życia”, to czerpanie zaś jest nieumiarkowanym poszukiwaniu wszelkich źródeł cielesnej przyjemności – nawet, jeśli oznacza to przekroczenie granic moralności. Japońskie ukijo-e nie jest ani jednym, ani drugim, choć do tego pierwszego, czyli starożytnego, podejścia pewnie byłoby bliżej.

Nie chodzi tu bowiem o nieumiarkowane czerpanie rozkoszy, ale o umiejętność zatrzymania się nad tym, co naprawdę piękne. Następnie na wyciągnięciu z tego stosownych konsekwencji. Chwila jest zawsze ulotna, jest jak ostrze noża, by użyć obrazu, który stosowali europejscy fenomenologowie – sama w sobie jest prawie niezauważalna, natomiast przed nią i po niej rozciąga się nicość. W ten sposób chwila jest zawieszona w jakimś niebycie, zdaje się być jedynie przebłyskiem istnienia, krótkotrwałym i mało znaczącym. Tak krótkim i tak słabo osadzonym, że trudno uwierzyć w jej pozytywny status ontologiczny. Jest tak krótka, że rzadko żyjemy w „teraz”, częściej w „już nie” lub „jeszcze nie”. Chwili prawie nie ma.

Tym chwalebniejsze zatem zdaje się być jej zatrzymanie. I to zatrzymanie w momencie najpiękniejszego rozkwitu.

Podejźmy zatem do tego inaczej. Co nas wprawia w zdumienie, kiedy zatrzymujemy się przed czymś pięknym? Niektórzy powiedzą, że trwałość. Bo to, co trwałe, jest zarazem piękne. Nam, Europejczykom, piękno bardzo często kojarzy się z potęgą. Potężnym pałacem, wielką warownią, murem. Podziwiamy grecki Akropol, który przetrwał te wszystkie wieki, dzieło kamienne i potężne. Europejczycy, chcąc przekazać i utrwalić piękno, sięgali po materiały najcięższe. Japończycy odwrotnie. Spotkanie z pięknem niechybnie kierowało ich ku refleksji nad kruchością tego, co dostrzegają. To, co naprawdę ich zachwycało, jak choćby słynny kwiat wiśni, z natury swej było nietrwałe. Budowle z drewna i papieru, lekko płonęły, ale też czyniły mniejsze szkody, jeśli dochodziło do zawalenia się budynku choćby w czasie trzęsienia ziemi. Choć Japończycy nie byli nomadami, żyli jakby w namiotach, ciągle zdolni do zmiany siedziby. Otaczali je ogrodami, zwykle niewielkiej

wielkości, ze starannie przyciętymi roślinami, wysypami drobnym kamieniem. I jak budowle płonęły, tak ogrody trwały i ciągle były odtwarzane według jednego wzorca. Jak choćby słynące z ogrodów Kyoto, miasto ówczesnych cesarzy, w którym mnóstwo jest i dziś ogrodów, które zachowały swój wygląd przez setki lat. Cud nie tyle natury, co kulturalnego wysiłku człowieka, który rzecz najbardziej ulegającą zmianie, czyli roślinność, nauczył się zatrzymywać w niemal niezmienionej postaci. Dostrzegł piękno w kruchości, a następnie zaczął się uczyć, jak tę kruchą delikatność utrzymać – przycinając, pielęgnując, sterując wzrostem, a jeśli trzeba to odtwarzając, ale zgodnie z uprzednim wzrostem.

W tym pięknie nie ma przypadkowości, jest ono ściśle zaplanowane i podporządkowane kanonowi. Kanon rządził japońską sztuką.

Piękno niedojrzałe

Albo weźmy kanon urody kobiecej. Oparty na powtarzalności tak konsekwentnej, że posuwał się wręcz do rozmycia cech indywidualnych. Kobiety wybielone, z zaczernionymi zębami, ubrane zgodnie z konwencją i z równie jej podporządkowanym uczesaniem. Kobiety – co dla nas niezwykle ważne, zatrzymane w tym samym czasie. Drobne, jak małe dziewczynki, jakby kobiecie nie wolno się było zestarzeć, jakby czas nie dodawał jej piękna. Czy jest tu miejsce na takie pojęcie jak „dojrzałe piękno”?

Piękno kwitnącej wiśni to piękno drzewa, które jeszcze nie owocuje, zatrzymane w chwili, która powinna być tylko etapem dążenia do owocu.

Do XVII wieku skłaniało to raczej do konstatacji smutnych i sugerujących oddalenie się od spraw tego świata. Z faktu, że to, co piękne, jest ulotne, rzeczywiście łatwo jest przejść do konstatacji, że piękno cielesne nie jest warte zatrzymywanie się przed nim. Nie można przywiązywać się do tego, co nietrwałe – głosili inspirowani buddyzmem asceci. W Europie św. Augustyn nauczał, że człowiek nie może przywiązywać się do dób, które może utracić, a są to przecież wszystkie dobra tego świata. Albo mu je odbiorą, albo ulegną zniszczeniu, albo po prostu śmierć przeszkodzi nam w ich zatrzymaniu. „Do grobu tego nie weźmie...”, mówi się. W czasach Tokugawów nastąpiła jednak zmiana.

Ulotne piękno zamiast pogardy doczekało się uwznioślenia. Te rzadkie chwile, kiedy przyjemność staje się dostępna, nabrały sakralnego wymiaru. Świat przemija, prawda, należy więc go zatrzymać. Nauczyć się nim rozkoszować, przyjemność tę wydłużając jak się da. Stąd rozwój teatru, który pozwolił odgrywać sceny. Jeśli scena jest odgrywana, to można powtarzać ją w nieskończoność. To teatr kabuki, prosty, zrozumiały, schematyczny. Staje się rytuałem, który zatrzymuje nas w jednym czasie. Przeszłość i przyszłość nie ma już takiego znaczenia, skoro wszystko można zagrać. W języku polskim mówi się „odtworzyć scenę”, a więc przywołać to, co minęło i co zgodnie z chronologią nie powinno się powtórzyć. Powtarza się jednak w teatrze i będzie się powtarzać, póki scena w jakiegokolwiek formie (zapisanej czy

przekazywanej w tradycji) będzie odtwarzana. Można wreszcie zatrzymać w drzeworycie, który swój szczytowy rozwój miał właśnie w Japonii Edo.

Można wreszcie odgrywać sceny seksualne, a może nawet jeszcze bardziej sceny, które do stosunku doprowadzając, niekoniecznie kończą się nawet osiągnięciem zamierzonego celu. Sa jakby w pół drogi. Seksualność przeradza się wtedy w zatrzymanie chwili. Moment seksualnego spełnienia oznacza bowiem spłynięcie napięcia, właśnie, świadomość osiągnięcia celu. W ten sposób chwila mija. By nie minęła, trzeba znaleźć sposób, by przedłużyć te chwile, które trwają przed momentem spełnienia. Ale seksualność przeradza się wtedy sama w teatr. Jest wysublimowana, wyestetyzowana, a przez to jakaś bardziej ludzka (bo ludzkie jest wszystko, co wypływa z kultury), ale zarazem bezosobowe. Miłość, która jest wyrazem tego, co najintymniejsze, najbardziej nam wewnętrzne, tu zostaje zredukowana do narzuconego z zewnątrz schematu. Jej uczestnicy zaś muszą ją odegrać i to zgodnie z ustalonym schematem.

Sztuką było także być samurajem. Sztuka samurajska to sztuka walki – również ułożona według ścisłych zasad i podporządkowana rygorowi. Przede wszystkim rządzi nią okrutny kodeks, w którym odwaga nie może zostać w jakikolwiek sposób wycieniowana, a konfucjańska zasada lojalności posunięta jest do granic, które kultura europejska nigdy nie mogła przyjąć do wiadomości.

Filozofia państwowa

Japończycy bowiem, przyjmując z zewnątrz, najczęściej z Chin, kolejne prądy filozoficzne, starannie je selekcjonowali. O ile w samych Chinach istniały szkoły filozoficzne, które za cel obierały sobie życie mistyczne, a mnisi oddawali się kontemplacji, która nie musiała przynosić pożytku, ale była sama w sobie. Japonia przyjmowała jedynie te szkoły filozoficzne, lub w ten sposób przykrojone filozoficzne drogi, które sprzyjały władzy. Starannie budowała ideologię państwową i przez jej granice nie mogło przeniknąć nic, co mogłoby zagrażać stabilności władzy. W Japonii musiał panować porządek.

W ten sposób zadomowił się w kraju kwitnącej wiśni szybko zadomowił się konfucjanizm, który wspierał wszystkie porządki oparte na ściśle ustalonej hierarchii. W cenie był tu spokój, który osiągał człowiek czyniący swoje powinności. Lojalność względem rodziców i lojalność względem wszelkiej władzy nadrzędnej. Wystąpienie przeciwko temu porządkowi było naganne. Dla Japonii jak znalazł.

Ieyasu, pierwszy szogun z dynastii Tokugawów pisał: „Każdy z nas ma sobie wrodzoną życzliwość. Każdy z nas może żyć w zgodzie z naukami Konfucjusza. Warto o tym pamiętać”. Ideologia życzliwości i pogodzenia ze światem, idea czerpania przyjemności z zatrzymanej chwili, zapomnienia się w niej, pogodzenia z porządkiem władzy – to wszystko sprawiało, że reżim przez trzy wieki mógł być spokojny o swoje trwanie. Reżim zrósł się z filozofią, która ukonstytuowała Japonię i tak długo zamykał ją przed obcymi wpływami, które mogłyby naruszyć ustanowiony ład, jak tylko można było.

Edo to właśnie taka zatrzymana chwila, ukijo-e.

I choć Europa pozornie odżegnuje się od tych samych wzorców, jest znacznie bardziej indywidualistyczna i skłonna do rewolty, to w rzeczywistości model japoński można odnaleźć w niej pod wieloma postaciami. Poniekąd Europejczycy mają więcej z Japończyków niż mogłoby się wydawać. Edo jako zatrzymana chwila i chwila nazwana. Europa jako chwila, która też pragnie zatrzymania, choć nie do końca jest tego świadoma. Nie wie, że jest ukijo-e.

Najprościej byłoby szukać ukijo-e w europejskim konserwatyźmie. On też coraz częściej staje się wintydzem – przybraniem pewnej pozy, odegraniem spektaklu przed widzem, jakim jest reszta społeczeństwa. Wpisaniem się w schemat, którego jedyną wartością jest powtarzalność. Opór człowieka przed zmianą i przed wzięciem we własne ręce panowania nad kulturą sprawia, że Europejczycy dość chętnie wchodzą w schematy zależności od kulturowych wzorców – zaleknieni o to, co będzie, jeśli jej granice przekroczą.

Jeśli jest dla tej niechęci do zmiany jakieś racjonalne uzasadnienie, to dobrze. Jeśli potrafimy pokazać, że lepiej się trzymać wzorca niż od niego odstąpić – też dobrze. Źle się dzieje, jeśli jedynym uzasadnieniem jest zatrzymanie chwili. Ale to jeszcze nie wystarczy do tego opisu.

Europa

Jeśli europejski konserwatyźm ma mieć charakter ukijo-e, potrzebuje uzasadnienia innego niż racjonalne czy etyczne. Do ukijo-e zbliża się zjawisko, które możemy nazwać konserwatyźmem estetycznym. To z

kolei zmusza do przypomnienia słynnej klasyfikacji Kierkegaarda. Podzielił on ludzkie postawy na trzy. Najlepsza jest postawa religijna – człowiek znajduje wtedy racje swojego postępowania w sankcji nadprzyrodzonej, nawet wtedy, gdy jest ona absurdalna. Wystarczy, że ma ona swoje źródła poza tym światem. Gorsza od niej jest postawa etyczna. Człowiek kieruje się tu dobrem i według niego racjonuje swoje zachowania. Najniżej zaś stoi postawa estetyczna. Człowiek, który się nią kieruje, oddaje się kultowi chwili. Dla Kierkegaarda jej najlepszą egzemplifikacją była postać Don Juana, namiętnego kochanka, który porzucał kolejne kochanki, by na nowo zażywać tej samej rozkoszy. Choć to model seksualności nieco inny od tej, którą uprawiano w dzielnicy rozkoszy Edo, to jednak jest wspólny mianownik – powtarzalność tej samej chwili. Pod pozorem szukania nowych wrażeń, sięga po znane sobie wzorce i wrażenia.

Rasowy konserwatysta oburzy się, jeśli zarzuci się już estetyzm. Ale cóż innego on robi, jeśli redukuje swoje działanie do rekonstruowania. Do autystycznej wręcz postawy powtarzania tego, co znane i co raz już zapewniło bezpieczne przeżycie przyjemności. Jak dziecko autystyczne, które kurczowo trzyma się jednego i świetnie znanego sobie kocyka. Konserwatysta szuka jednej przyjemności i stara się ją nieustannie znaleźć w tym samym. Stawia na powtarzalność, jakby życie nie mogło przynieść czegoś lepszego. Jakby nie było takich sytuacji, w których trwanie nie jest czymś dobrym, nie jest dziełem nadprzyrodzonego porządku, ale utrwalaniem tego, co skażone grzechem.

Prawdziwy konserwatysta, ten nie-estetyczny, uznaje skażenie ludzkiej natury grzechem. Dostrzega skażenie we wszystkim, co na tym świecie. Ostrożny więc jest w przywiązywaniu się do tego, co trwa. Zgodnie ze słowami św. Augustyna, że nie wolno przywiązywać się do tego, co

można utracić. To nieautystyczne wezwanie św. Augustyna powinno wyrywać nas z estetycznej drzemki, w którą popadła znaczna część konserwy – ta, która w kurczowym trzymaniu się nawet najgorszych schematów i obyczajów, najgorszej nawet władzy, odnajduje sens własnego istnienia. To konserwatyści, słudzy władzy. Lojalność jest ich największą wartością, jakby Jezus nie powiedział nigdy, że porzuci człowieka swojego ojca i matkę i nie wyjdzie ku nowemu życiu.

Postępowe Edo

Ale wzorzec ukijo-e można znaleźć także u tych, którzy od konserwatyzmu się odżegnują i wydaje im się, ze swoją postępowością i otwarciem na nowe trendy niszczą stary świat, budują nowy, koniecznie lepszy. Ci jeszcze bardziej przypominają don Juana. Mając zakodowany w sobie wzorzec oczekiwań, potrzebują spełniania go w coraz to nowych obiektach. Kolejne chwile jak w kalejdoskopie przewijają się przez ich świadomość, oni każdą z nich podchwytyją, zatrzymują na chwilę, jak w japońskim drzeworycie, a potem rzucają się ku nowej, by powstał drzeworyt zupełnie nowy i by ten sam wzorzec powtórzył się w nowej chwili.

Są podobni do wzorców zaszczerpionych przez Edo także w dzielnicy rozkoszy. Jeśli seksualność gejszy polegała na odkładaniu chwili spełnienia, to wydaje się jasne, jaką chwilę odkładają europejscy postępowcy. Chodzi o moment spełnienia historycznego. Znajdują oni sens w nieustannym do niego dążeniu. Nie potrafią przyjąć do wiadomości, że być może oto spełniło się wszystko, co miało się spełnić. Że historia może dopełniła się już wcześniej. Odkładają oni tę myśl o historycznym spełnieniu w daleką przyszłość, by zażyć

przyjemności w samym biegu za nią. Jak człowiek, który postanowił biec przez świat w kierunku horyzontu i czerpie przyjemność z tego, że nigdy go nie osiągnie.

By tego stanu dostąpić, Europejczycy porzuci marzenie o osiągnięciu celu. Przestali nawet tego celu definiować. Od czasu Hume'a zakwestionowali wręcz wszelką celowość. O ile jeszcze w myśli Arystotelesa, przyczyna celowa była najważniejsza w regulowaniu światem i ludzkim postępowaniem, była ta siłą, przez którą przemawiało Najwyższe Dobro, o tyle dzisiaj zwątpienie w cel jest tak wielkie, że wszelkie dążenie staje się samo dla siebie. Staje się biegiem za owym horyzontem, którego nigdy się nie dopadnie i którego nawet nie powinno się wyobrażać.

Polityczny paradoks

To właśnie jest najdziwniejsze. Konserwatyści bywają bliscy postępowcom. I wcale nie jest to bliskość pozytywna. Taka, która skłoniłaby nas do stwierdzenia, że jest szansa na dialog, że każdy jakoś dotyka prawdy, choć nie potrafi tego nazwać. Nie, to jest bliskość w tym, co najgorsze i do czego najtrudniej się przyznać. Skażenie ludzkiej natury grzechem sprawia, że człowiekowi trudno jest przyznać się fdo tego, że potrzebuje zmiany. Że powinien wyzwolić się z więzów, które przeszkadzają jego zbawieniu. Wolałby powtarzania ulubionych schematów, jak alkoholik, którego cieszy butelka pozostawiona poprzedniego dnia w lodówce. Chcielibyśmy co rano się budzić z myślą, że taka butelka, z ulubioną etykietką, czeka tam na nas, obok dobrego

sera, na szklanej półce, schłodzona do temperatury, jaką od lat nastawiamy, by alkohol smakował wciąż w ten sam sposób. Ten nasz ulubiony. Bo każdy lubi to, co zna.

Jeśli jesteś konserwatystą i pociąga cię obraz zarysowany powyżej, zastanów się nad sobą. W powtarzalności nie ma bowiem nic pięknego. Sama powtarzalność powinna być raczej dla nas drugorzędna, powinna być dziełem przypadku, a nie świadomego dążenia. Może nawet więcej, powinniśmy działać tak, by nic się nie powtarzało. Skoro każde nasze działanie skażone jest grzechem, szukajmy działań innych.

Pewne wnioski można wysnuć z klasycznej zasady metafizyki, *transcendentalia*, a więc sprawy takie jak byt, dobro, prawda, piękno, są wymienne. To, co jest dobre, jest i piękne. I na odwrót. To z kolei powinno nas skłaniać ku temu, że piękno nie jest czymś, co można zamknąć w jednym drzeworycie. Japończyk pokaże chwile i powie, że piękno się w niej wyczerpuje. Chrześcijanin zachwyci się Bożym stworzeniem, znajdzie we wszystkim nadprzyrodzoną rękę, ale i zwróci uwagę na to, że jest to piękno oraz dobro niedoskonałe. Bo choć stworzył je Bóg, to samo Bogiem nie jest. Więcej, w Boże stworzenie zakradło się za sprawą pierwszych rodziców zepsucie, którego własnymi siłami nie usuniemy. Nie przywiązujemy się zatem do niego. Nie tylko dla tego, że możemy je utracić, ale też dlatego, że zawsze będzie tylko śladem, a nie pełnym odbiciem doskonałości.

Krytyk kultury

Prawdziwy konserwatysta staje się wtedy nie kapłanem przeszłości, ale krytykiem tego, co go otacza. Musi uważać, by nie przekroczyć delikatnej granicy, za którą rozciąga się manicheizm, a więc przekonanie, że wszystko jest złe. Nie, nie jest złe, ale niedoskonałe. Ta niedoskonałością zaś nie można się specjalnie zachwycić. Ot, zatrzymać się tylko na chwilę, a potem pójść dalej. Dalej – bo jak uczy nas jedna z przypowieści, którą przejęło chrześcijaństwo, może spotkać nas to, co pewnego młodego mnicha. Wędrował on ze swoim mistrzem. Nad brzegiem rzeki spotkali skąpo odzianą dziewczynę. Ta poprosiła ich o przeniesienie na drugą stronę rzeki. Podjął się tego mistrz. Wziął ją w ramiona i przeniósł na drugi brzeg. Uczeń milczał. Wieczorem dopiero odważył się zapytać. Mistrzy, dlaczego to zrobiłeś? Ona była przecież tak skromnie odziana? Na co mistrz odpowiedział: Widzisz, ja ją wziąłem na ramiona, przeniosłem i zostawiłem na drugim brzegu. A ty ją ciągle niesiesz w swoim sercu.

Ta przypowieść dobrze pokazuje, czym różni się chrześcijańska postawa od tej z ukijo-e. Mistrz nie zatrzymał chwili, pozwolił, by ona umknęła, pozostawiając go nienaruszonym. Uczeń zaś próbował zastosować niewłaściwe remedium. Zamiast na podobieństwo mistrza przepuścić chwilę, trzymał ją w sobie, potęgując złość.

Parawan

Żeby podsumować ten wywód i znaleźć dla niego dogodny obraz, przywołajmy parawan. Jest to przedmiot znakomicie zakorzeniony w tradycji Dalekiego Wschodu. Kunsztowny parawan wykonany z laki stanowił jeden z najwyższych przejawów kultury Chin i Japonii.

Zarazem parawan jest przedmiotem szczególnym. Za parawanem można się skryć, ale nigdy całkowicie. Pozostaną cienie, czasem wysunięta jakaś część ciała. Parawan pobudza wyobraźnię. Nie można za parawanem oglądać rzeczywistości. Najwyżej jej pojedyncze przejawy, całą resztę sobie wyobrażając.

Będziemy więc, na przykład, wyobrażać sobie za tym parawanem piękną gejszę i to wyobrażenie nad nami zapanuje. Będziemy go sobie bez końca powtarzać, aż ono nami zawładnie. Zawładnie nad nami chwila nawet nie tyle zatrzymana, co wyobrażona. Zatrzymamy wyobrażenie, a nie rzeczywistość.

Możemy też wyobrazić sobie, że owej gejszy dzieje się coś złego. I tym wyobrażeniem też się będziemy upajać. Zresztą nasze czasy, także pod wpływem azjatyckiej kultury, dokonały estetyzacji grozy. Groza stała się dla współczesnego człowieka poniekąd piękna. Wszelako nie jest to groza prawdziwa, bo o jakiej grozie mogą mówić syte i żyjące w pokoju społeczeństwa europejskie, ale groza wyobrażona. Przeklęty obraz, który za nami chodzi i do którego lubimy wracać jak do kultowego horroru.

Będziemy jak ludzie, którzy nie potrafią podróżować, bo ciągle robią zdjęcia. Oglądają je dopiero w domu i wtedy właśnie zaczynają podróż. Ale nie jest to już podróż w realnym świecie, ale całkowicie fikcyjnym, zamkniętym w kadrze i przez ten kadr zniekształconym. Będzie to podróż żałosna.

Dziś w takiej żalösnej podrözy jest znaczna część Europy. Świat jej umyka, a ona zatrzymała sobie jakieś chwile. Niektórzy nazywają to europejskim projektem, a inni europejskim marzeniem. A to po prostu ukijo-e. Pobłogosławione przez władze i inne siły tego świata. Pociągające, bo przyjemne. Problem w tym, że bezcelowe.

Temu ukijo-e ulegają chrześcijanie, konserwatyści, liberałowie i potomkowie Marksa. Prawdziwy świat umyka. Ten świat, który próbował jeszcze opisać choćby św. Tomasz, który mówił, że to, co istnieje, jest ze swej natury dynamiczne. Ukijo-e pozostawmy więc sobie, jak obraz z albumu. Sztuka uczy człowieka, a niekoniecznie prowadzi. Kiedy ją studiujemy, poznajemy nie tylko piękno, ale i ludzką niedoskonałość, która się w tym obrazie ujawniła. Kultura wcale nie jest zatrzymaniem piękna, ale odsłonięciem ludzkiej niedoskonałości. Tak naprawdę tym jest ukijo-e.

Snem, nierzeczywistością, odpuszczeniem chwili, a nie jej zatrzymaniem. Tym samym jest Europa. Najlepszy dowód ludzkiej niedoskonałości – nie tej, która zachwyci, ale która uczy unikania błędów.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w styczniowym numerze Nowego Państwa